

Krótką historia fałszywego oskarżenia

Witold Gadomski

2009-03-08, ostatnia aktualizacja 2009-03-06 17:09



Przed domami byłych prezesów grupka bojówkarzy, ubranych w służbowe drelichy gwizdała, wyła i wykrzykiwała oskarżenia. Leciały petardy, kamienie i jajka. Akcja była sponsorowana przez zarząd Stoczni Gdańskiej

Trzeciego lutego Sąd Apelacyjny w Gdańsku wydał prawomocny wyrok w sprawie byłych prezesów Stoczni Gdańskiej - Bogumiła Banacha i Elżbiety Dudziuk.

Oboje zostali oczyszczeni z zarzutów narażenia przedsiębiorstwa na stratę 205 mln zł. Decyzja sądu jest ostateczna, lecz satysfakcja uniewinnionych prezesów gorzka.

O wyroku uniewinniającym opinia publiczna dowiedziała się z krótkich notatek zamieszczonych gdzieś na tylnych stronach kilku gazet. Gdy przed kilku laty media - praktycznie bez wyjątku - przesądzały o winie, teksty w gazetach były znacznie większe i lepiej wyeksponowane.

Przez ponad pięć lat Banach i Dudziuk żyli w cieniu oskarżenia, najpierw rzucanego przez gazety i działaczy związkowych, potem przez prokuratora. Stracili realne możliwości wykonywania zawodu. Elżbieta Dudziuk, z wykształcenia projektant okrętowy i finansista, jest dziś na wcześniejszej emeryturze.

Sukces i jego przeciwnicy

Aby zrozumieć, co się stało, musimy cofnąć się o ponad 10 lat. We wrześniu 1998 r. syndyk masy upadłościowej spółki Stocznia Gdańska SA sprzedał przedsiębiorstwo spółce noszącej wówczas nazwę Trójmiejska Korporacja Stoczniowa SA, założonej przez Stocznnię Gdynia SA, EVIP Progress SA i Bogumiła Banacha. Transakcja wzbudziła entuzjazm specjalistów oraz dziką nienawiść niektórych działaczy "Solidarności" i gdańskich polityków, przyzwyczajonych do tego, że bez ich udziału i zgody nic istotnego w Trójmieście się nie dzieje.

Związek Banków Polskich przyznał transakcji honorową nagrodę "za sposób finansowania budowy statków w trakcie postępowania upadłościowego". Dziennik "Prawo i Gospodarka" zakup Stoczni Gdańskiej uznał za prywatyzację roku, a brytyjski "Financial Times" pisał o niej jako o sukcesie restrukturyzacji polskiego przemysłu. Wyjątkowość transakcji polegała na tym, że przez cały czas udało się utrzymać ciągłość produkcji. Zamiast sprzedawać poszczególne fragmenty majątku, syndyk - znany mecenas Andrzej Wierciński - sprzedał działające przedsiębiorstwo, które ani na moment nie zaprzestało skomplikowanej produkcji. Po transakcji syndyk oddał pożyczkę zaciągniętą w Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych - chyba jedyny tego rodzaju wypadek w Polsce.

Uratowano w stoczni 2 tys. miejsc pracy, a wkrótce powstało 2 tys. kolejnych.

Pełny sukces? No tak, ale jesteśmy w Polsce. Ówczesny marszałek Sejmu **Maciej Płażyński** zażądał kontroli **NIK**-u, zaś rzecznik ZChN (a dziś rzecznik prezydenta RP) Michał Kamiński twierdził, że biorąc udział w transakcji firma EVIP "specjalizuje się w przejmowaniu za bezcen majątku narodowego". Od początku przeciwko przejęciu Stoczni Gdańskiej przez spółkę z udziałem Stoczni Gdynia opowiedziało się **Radio Maryja**, którego dyrektor ojciec Rydzyk powołał jeszcze wiosną 1997 r. Społeczny Komitet Ratowania Stoczni Gdańskiej. Przeciw prywatyzacji była też większość działaczy "Solidarności" stoczniowej z Gdańska.

Prokurator zarzucił syndykowi Wiercińskiemu oraz notariuszowi Markowi Kolasie, który sporządził akt sprzedaży... brak dbałości o powierzone mu przedsiębiorstwo. Prokurator "wyliczył", że stocznię sprzedano za tanio. Proces Wiercińskiego i Kolasy rozpoczął się dopiero w 2005 r., a zakończył dopiero w lutym 2008 r. wyrokiem uniewinniającym.

Świat kodeksu spółek handlowych

Sprzedaż masy upadłościowej Stoczni Gdańskiej była ciągiem kilku transakcji, które miały doprowadzić do powstania na bazie przejmowanego majątku dwu różnych spółek. To jest świat kodeksu spółek handlowych. Tajemniczy, może nawet podejrzany dla laika, ale nie dla fachowców. Pech chciał, że o prawie handlowym najwyraźniej nie miał pojęcia prokurator i sędzia pierwszej instancji, który wydał kuriozalny wyrok skazujący.

Pierwsza spółka - Stocznia Gdańska, Grupa Stoczni Gdynia SA - miała zajmować się budową okrętów, druga - Synergia 99 Sp. z o.o. - miała zagospodarować tereny należące do stoczni i działać jako deweloper. Pozyskane przez nią pieniądze miały być przeznaczone na spłatę długów stoczni.

Konkretnie chodziło o 40 ha, które do prowadzenia działalności produkcyjnej stoczni nie były potrzebne i na planie geodezyjnym zostały określone jako "tereny A", znajdujące się poza portem morskim, i "tereny B", w obrębie portu. Na początku były więc dwie spółki - Stocznia Gdańska i Synergia - mające tych samych właścicieli. Pierwsza spółka staje się udziałowcem drugiej, wnosząc w aportie tereny A i B. Ponieważ przejęły majątek, który kiedyś należał do państwa, a w dodatku działają na obszarze portowym, każdy ich ruch wymaga zgody rozmaitych instytucji państwowych. Tereny znajdujące się w obszarze portu mogą zostać przejęte przez Port Gdańsk, który ma do nich prawo pierwokupu. Na terenach B znajdują się pochylnie stoczni, które w przyszłości mają być stamtąd przeniesione, ale na razie są potrzebne do produkcji.

Stocznia Gdańska zawiera więc 7 lipca 1999 r. z Synergią umowę zobowiązującą do przeniesienia prawa użytkowania wieczystego gruntu i prawa własności budynków. W zamian ma otrzymać udziały w Synergii, która jednocześnie zobowiązuje się wydzierżawić stoczni pochylnie znajdujące się na terenie B (wciąż mówimy o spółkach mających praktycznie tego samego właściciela). Ponieważ nie wiadomo wówczas, czy Port Gdańsk skorzysta z prawa pierwokupu terenów B, Synergia 99 zobowiązuje się do ustanowienia na przejętym majątku hipoteki kaucyjnej w wysokości 205 mln zł. To w zamyśle autorów transakcji miało zabezpieczyć interesy stoczni do czasu, aż wyjaśni się stanowisko Portu

Gdańsk. Ponieważ Port z prawa pierwokupu nie skorzystał, w końcu sierpnia 1999 r. zawarta została kolejna umowa między Synergią i Stoczną Gdańską - prawa własności zostały przeniesione na Synergię, która zaraz potem wydzierżawiła stoczni teren B z pochylniami. Umowa zapewniała stoczni stały dostęp do pochylni. W tej sytuacji w lutym 2000 r. hipoteka kaucyjna została zniesiona - Bogumił Banach i Elżbieta Dudziuk złożyli stosowne oświadczenie przed notariuszem.

Powód zniesienia hipoteki był oczywisty. Po pierwsze, interesy stoczni były zabezpieczone umowami o dzierżawie pochylni na terenie B. Po drugie, hipoteka obniżała wartość terenów i zniechęcała potencjalnych inwestorów. W obu spółkach trwały powolne przekształcenia właścicielskie. W Synergię zainwestowały dwa amerykańskie fundusze, zarządzane przez spółkę TDA Capital Partners. Inwestowały z myślą o biznesie deweloperskim.

Każdy chciał ugryźć

- Gdzieś w 2001 r. spotkał się ze mną Karol Guzikiewicz, wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej "S" Stoczni Gdańskiej - mówi Dariusz Adamski, szef "S" w Gdyni i przewodniczący Sekcji Krajowej Przemysłu Okrętowego NSZZ "S". Powiedział mi, że Amerykanów trzeba z terenów po-stoczniowych wyrzucić.

Tymczasem w 2002 r. przemysł stoczniowy przeżył ostry kryzys, a rząd Leszka Millera pod pretekstem jego ratowania przejął nad nim kontrolę. W marcu 2003 r. odwołany został prezes Grupy Stoczni Gdynia Janusz Szlanta, a na jego miejsce przyszedł powiązany z lewicą Włodzimierz Ziółkowski. Przewodniczącym rady nadzorczej Grupy był mąż znanej posłanki Bolesław Senyszyn. Lewica zgadzała się z prawicą i działaczami związkowymi w "kolebce" co do jednego - trzeba walczyć z "gangiem Szlanty", jak określano grupę współpracowników byłego prezesa, i za wszelką cenę odzyskać tereny przejęte przez Synergię. W tej jednej sprawie przewodniczący "Solidarności" Stoczni Gdańskiej Roman Gałęzewski był gotów rozmawiać z gdańskim baronem **SLD** Jerzym Jędykiewiczem.

Szukanie haków zaczęło się na całego, a haki - na ogół dęte - wędrowały do mediów. Podczas rozprawy sądowej Karol Guzikiewicz, gorący zwolennik prawicy (był jednym z organizatorów słynnego wiecu poparcia dla **PiS** w stoczni w 2007 r.) przyznał, że materiały oskarżające byłych prezesów o nadużycia otrzymał od Ziółkowskiego, człowieka SLD.

Pierwsza wystrzeliła (niestety!) trójmiejska "Gazeta Wyborcza", a zaraz po niej "Dziennik Bałtycki" i inne media Trójmiasta. Teza od początku była ta sama: prezesi zdjeli "po cichu" hipotekę kaucyjną, powodując tym samym stratę w wysokości 205 mln zł.

- Zarzutami mediów byłam zaskoczona, tym bardziej że dotyczyły spraw sprzed kilku lat, których dokładnie nie pamiętałam, a nie miałam już wówczas dostępu do dokumentów Stoczni Gdańskiej - mówi Elżbieta Dudziuk. W dodatku cały czas byłam związana tajemnicą służbową, więc nawet gdy już odświeżyłam sobie pamięć, nie mogłam odpowiadać szczegółowo na zarzuty. Zresztą media moimi wyjaśnieniami - że nie doszło do nadużyć, że hipoteka kaucyjna to nie to samo co kaucja, a stocznia nie poniosła żadnych strat z powodu powodu zniesienia hipoteki - się nie interesowały. Albo niczego nie rozumiały, albo

przejawiały złą wolę. Rozumiem, że dla mediów bad news is good news, a konsekwencje dla żywych ludzi mało je interesują - mówi z goryczą.

Polowanie z nagonką

Zaraz po odkryciu "sensacji" przez media - w listopadzie 2003 - Dudziuk i Banach (pracowali wówczas w Stoczni Gdynia) zostali wezwani przez prezesa Stoczni Gdańskiej Wojciechowskiego. W gabinecie obecny był Roman Gałęzowski i radca prawny "Solidarności".

- Usłyszałam słowa: to jest wojna - mówi Elżbieta Dudziuk. - A dalej: wiem, że umowa przejęcia terenów przez Synergię jest nie do podważenia, ale jest na to sposób. Musicie zeznać przed notariuszem, że godząc się na zdjęcie hipoteki kaucyjnej, popełniście błąd mentalny.

- Chodzi o "pomroczność jasną"? - zapytał Banach.

- Coś w tym rodzaju - odrzekł radca prawny "S".

Byli prezesi nie zgodzili się na udawanie niepczytalnych i zgodnie z pogróżkami, jakie słyszeli w gabinecie, zaczęła się przeciw nim nagonka.

Przed ich domami gdańska "Solidarność" rozpoczęła akcje nieustających pikiet i demonstracji. Grupa bojówkarzy, ubranych w służbowe drelichy gwizdała, wyła i wykrzykiwała oskarżenia pod ich oknami. Leciały petardy, kamienie i jajka. Akcja była sponsorowana przez zarząd Stoczni Gdańskiej, który dofinansowywał wyjazdy. Zachowały się dokumenty podpisane między innymi przez Guzikiewicza, który występuje o tego rodzaju wsparcie. Gdańska "S", która dysponuje funduszem cegiełkowym, każdemu bojówkarzowi płaciła dniówkę. Zdaniem byłego działacza kiedyś było to 50, potem 100 zł.

W mieście rozdawano ulotki: "Tacy ludzie niszczą gospodarkę". "Elżbieta Dudziuk powinna siedzieć w więzieniu". Na każdej widniała liczba: 205 mln zł, które jakoby ukradli byli prezesi. O planowanych demonstracjach przed domami prezesów informowały także lokalne gazety. Policja, jeśli się wtrącała, to tylko po to, by chronić pikietarzy.

Wiceprezesi zwracali się o ochronę do sądu rejonowego. Sąd zażądał podania nazwisk nękających, których prezesi nie znali, choć wiedzieli, kim są organizatorzy demonstracji. Uważali, że to policja ma obowiązek ustalić nazwiska potencjalnych przestępców, ale sąd w tej sytuacji uznał prywatne oskarżenie za bezskuteczne.

Prosili zarząd stoczni, by wytłumaczył związkowcom bezzasadność zarzutów. Próbowali negocjować z "Solidarnością". Dostali odpowiedź: "Oświadczamy, że jesteśmy gotowi odwołać ww. zgromadzenie. Jedynym warunkiem jest wyrażenie zgody na piśmie o wszczęcie postępowania w celu unieważnienia podpisu pod aktem notarialnym zwalniającym Synergię z odszkodowania 205 mln zł na rzecz stoczni".

Najbardziej skandaliczny incydent miał miejsce w sądzie w styczniu 2005 r., gdy na procesie

Banacha i Dudziuk zeznawał jako świadek Janusz Szlanta. Pikieciarze, pod przywództwem Guzikiewicza, obrzucili świadka jajami. Dostało się też chroniącym go policjantom. Potem wtargnęli na salę rozpraw. Kilka jaj poleciało w stronę ławy świadków. Pani sędzina zarządziła przerwę i rozpoczęła z Guzikiewiczem negocjacje.

- Gdyby coś takiego wydarzyło się w praworządnym państwie, poszedłby pan siedzieć - ostrzegła, przyznając tym samym, że nie reprezentuje państwa prawa.

Guzikiewicz zagroził, że jeśli rozprawa zostanie zamknięta dla publiczności, "nie gwarantuje spokoju w gmachu sądowym". Pani sędzia ostrzeżenie potraktowała poważnie i wznowiła rozprawę.

Prokurator nie zgodził się wszcząć postępowania o obrazę instytucji państwowych.

Kompromitacja i sukces prawa

Byli prezesi mimo ciężących nad nimi oskarżeń wciąż pracowali w Grupie Stocznia Gdynia, choć już nie w Gdańsku. Uległy wobec **SLD** i bojówkarzy prezes Ziółkowski szybko podał się do dymisji, a jego następcą Lewandowski przystał na to, by nieszczęsną hipotekę kaucyjną ocenili niezależni prawnicy. Z dwóch ekspertyz wynikało, że do żadnego przestępstwa nie doszło, a interesy Stoczni Gdańskiej nigdy nie były zagrożone przez Synergię.

Jednak prokurator czynił swoją powinność. O tym, że akt oskarżenia będzie sporządzony, informował media rzecznik prokuratury Konrad Kornatowski. Prokuraturą Apelacyjną w Gdańsku kierował wówczas Janusz Kaczmarek. Pod tak światłym kierownictwem prokurator rejonowa Lucja Łukuć skierowała 25 czerwca 2004 r. akt oskarżenia, w którym zarzuciła byłym prezesom, że narazili spółkę na powstanie szkody w kwocie nie mniejszej niż 205 mln zł. W którym momencie pieniądze te rzekomo wypłynęły i kto je przejął - pani prokurator nie wyjaśniała. Postępowanie zostało wszczęte na wniosek "Solidarności", która dysponowała materiałami dostarczonymi kiedyś przez prezesa Ziółkowskiego, nominata SLD. Kółko się zamknęło.

W pierwszej instancji pani sędzia Ludwika Małkowska (ta sama, która tak dzielnie negocjowała z bojówkarzami na sali rozpraw) uznała, że zebrane dowody są wystarczające do skazania byłych prezesów Stoczni Gdańskiej. Dostali wyrok w zawieszeniu. Ale w swoich zawodach byli skończeni. Media, które od kilku lat relacjonowały sprawę, triumfowały, licytując się, które pierwsze dotarło do materiałów.

Innego zdania był sąd okręgowy, który dwa lata później wyrok uchylił i skierował do ponownego rozpoznania. Sąd apelacyjny 3 lutego 2009 r. nie tylko uniewinnił podejrzanych, ale sporządził "uzasadnienie" druzgocące dla pań Łukuć i Małkowskiej oraz dla głównego świadka oskarżenia Karola Guzikiewicza:

"Sąd dał wiarę zeznaniom świadka Karola Guzikiewicza jedynie w części, w której świadek ten potwierdził, iż przez cały okres, w którym teren, na którym znajdowały się pochylnie, był własnością Synergii 99 Sp. z o.o. Stocznia Gdańska miała do niego niezachwiany dostęp oraz

że nigdy produkcja na pochylniach nie stanęła. () W pozostałym zakresie Sąd zeznania te potraktował z ostrożnością. Wskazać bowiem należy, że świadek ten, nie będąc uczestnikiem zdarzeń gospodarczych, o których zeznawał (), nie mając także wiedzy, odnośnie do zawartych porozumień (), jak również nie posiadając wykształcenia z zakresu ekonomii, prawa ani też żadnego doświadczenia związanego z prowadzeniem działalności gospodarczej na wielką skalę w swych zeznaniach nie omieszkiał dokonywać kategorycznych ocen, odnoszących się negatywnie do przemian gospodarczych, które miały miejsce w Stoczni GSG SA (). Postawa świadka Karola Guzikiewicza reprezentującego organizację mającą na celu ochronę praw pracowniczych i zeznającego właśnie pod wpływem tych skrajnych emocji może znaleźć zrozumienie. Na takie zrozumienie nie zasługuje natomiast postawa Prokuratora, który Karola Guzikiewicza powołał w pkt 1 listy świadków () pomimo, że wyżej wymieniony nie posiada żadnej wiedzy na temat przedmiotu postępowania (). Powyższe może świadczyć o tym, że kierując akt oskarżenia Prokurator bardziej koncentrował się i wziął pod uwagę te właśnie skrajne emocje towarzyszące niniejszej sprawie, protesty stoczniowców podjudzane przez reprezentujących ich przedstawicieli związków zawodowych czy artykuły prasowe, które donosiły o tym, że doszło do wyprowadzenia majątku ze stoczni, aniżeli zajął się, wykorzystując posiadaną przecież wiedzę prawniczą chłodną, dogłębną analizą prawną zgromadzonych dokumentów (). Zdaniem sądu, gdyby do takiej analizy doszło, akt oskarżenia w niniejszej sprawie nigdy by nie powstał".

Wciąż nie jest zakończony proces - zapewne najważniejszy - Janusza Szlanty, byłego prezesa i współwłaściciela Grupy Stoczni Gdynia.

Źródło: Gazeta Wyborcza